
H E N R Y K P T A K

DALEKIE
NAWOŁYWANIA



K R A K Ó W M C M X X X I X

H E N R Y K P T A K

DALEKIE
NAWOŁYWANIA

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
10-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 77
Tel. 26-68-63

K R A K Ó W M C M X X X I X



NAKŁADEM AUTORA — GŁÓWNY SKŁAD:
GEBETHNER I WOLFF, WARSZAWA — KRAKÓW
DRUKARNIA PRZEMYSŁOWA KAROLA PODGÓRCZYKA I SP.

92 004

OTO MÓJ DOM UBOGI

Z MOJEGO OKNA.

W kwadrat ścian wciśnięto podwórko,
zaś w kącie szczerzą zęby schody,
ganki zwisają w falbany,
na dachach beztroską chmurką,
czułe na wszelkie wygody,
do ludzi uśmiechnięte rozparło się niebo,
zerkając w oczy szybek szklanych.
W tym domu ludzie nigdy troski nie wytrzebią,
choć często ze sobą spierają się żywo.
Tu się handluje, szyje buty i suknie
i lica bolesnym grymasem się krzywią,
a sąsiad drugiego nie rzadko ofuknie.

Tutaj jak promień do studni,
wpadli grajcy-trubadurzy.
Czy ich kto tylko wysłucha?
Praca ustaje w nocy lub w południe,
nikt się miłośnie nie durzy,
a ciepło znają kozucha.

„Wdziej maskę, błaźnie,
za rumieniec weź szminkę,
kto płaci, ten prawo śmiać się ma“...
Aria do mieszkań dociera odważnie,
jak wódz odcinek zwalcza za odcinkiem
i w ludziach zasiewa dylemat.

Praca zbudzonej tęsknoty nie płoszy,
choć godziny z kłębka rozplątuje żmudnie.
Z otwartych okien lecą zwitki groszy,
póki radość nie zgaśnie, a żar nie ochłódnie...

KOŚCIÓLEK ŚWIĘTEGO BENEDYKTA.

Czasem myśl jak wóz wypadnie z szyn,
gdy plan powzięty sprzeciwia się mottu. —
Z żył rozwidlonych w sznury procy,
skąd zwiastować się miał czyn,
gasiły ogień krople potu
na skroniach zwiśle u żył. —
Na czole pęczniały myśli
w srogich zmarszczkach przyczajone.
Wicher rozgłośnie powtórzył,
gdyśmy pod kościół przyszli:
Życie najdroższe przed zgonem. —

Tak westchnął kościół Benedykta.
Do ócz podbiegła myśl skryta,
ze skał Krzemionek przyjrzał się hardo
niezdarnym ludzkim mozołom
z długo tajoną pogardą,
cień chmury potarł mu czoło.
— W tym tłumie

nikt mię nie rozumie,
jestem stary. —
Pragnąc w gwiazdzistych zatopić się kręgach,
ubrany w ciężkie, szkarpowe szarawary,
wieżyczką po nieznane, niebosięźnie sięgał.
— Daleki dystans —
rzekł cicho i zapadł w trans:

— Młodością moją stała się gontyna
jak wsparta na kosturach
znachorka siwa i pochyła,
kiedy kadzidłem uroki odczynia,
błyskawic dosięga pazura,
skąd piorun niebosięźny zsyla.
Wzięłam początek z gry muskulów męźnych,
Moc moja wyprzęgła się już od wieków wieka,
aby skrzydła pod niebo wyprężyć,
gdzie-by się zamkła strudzona powieka,
wciąż tęskniącego za Bogiem człowieka.

Aż przyszedł Mnich z zachodu,
nie z mieczem, ze śpiewem;
psalmý pokutne zawodził,
miast czarów, krył Krzyż za kapturem,

podcienia gontyn rozwalił kurne
i kamienną dał przyodziewę.
Z menzy ofiarną wytarł krew,
gdy się lud kajał przed Chrzestem,
w ścianach wycisnął jak pieczęć sakrę.
Odtąd kościółkiem jestem.

A czego pragnąć, nie wiem.
Życia męczeńskich biczy,
jak siostra moja pod Nakłem,
lub na Lednicy — — — — —
Ze snu zbudzony łaknę...

SCHRONISKO BRATA ALBERTA.

Tu świat się kończy, bo zakratowany
i tylko wieczność się ściele,
gdzie bicie serca chciwie piją ściany
jak dym kadzielnny w kościele.

Klasztor na furcie skrzypi swoje „Salve“
a cisza świeckie zamazuje zgłoski.
Tutaj sam siebie odnalazł Brat Albert,
umarł dla świata już Adam Chmielowski.

Tu się niebieskie otwierają skłony
przed ziemskim życiem, wzgardzonym, choć bystrem.
Kto łaknie — Błogosławiony,
uspiony chłopskich habitów rytmem.

REFORMACKI ZAULEK.

Drapacz chmur, nawrotna wieża Babel,
ufny w pychę i moc pieniądza,
wymalował się aż po czubek na biel
i życie wygodnem urzędza.

Kiedy się cisnął w klasztorny zaułek,
on poza szkarpy cofnął się fałdziste,
słupy na pocisk wystawił nieczułe
i Krzyż żelazny na czoło wysunął,
a z lip rosnących dwa olbrzymie pistle,
aby na niebie porały się z łuną.

Chłodzi bez przerwy klasztorne przyczoła
rozłożonym wachlarzem stacyj Męki Pańskiej. —
A sygnaturka na przechodniów woła,
wiernym wezwaniu obiecując łaskę.

Patron z szczytnicy wzywa do wytrwania.
Gościnnie otwarły się nisze.
Drapacz chmur pnie się, cień po ziemi ślania
i zmiata do kościoła ciszę.

„AVE“.

Ks. Kanonikowi Antoniemu Żrałkowi.

Las mgłą się puszył, po czym zamknął w sobie
i głowę szczeciniastą, od świerków okrągłą,
na swych łapach żyłastych położył wśród ścieżyn
i jak pies, rekord usłużności pobił,
westchnął sowim kwileniem i ścieżki wyciągnął.
Wtem promień złocistą szpadą z oćmą się zmierzyl
i zaświecił lasowi śmiało, prosto w oczy:
pałąc na bluszczach rosy w powijakach,
drgnął i z grani wierchołków na trawnik się stoczył,
by zbudzić stróża — zaspanego szpaka...

Gaj dzwonił litanią:

Zwykle intonowała rozgłośnie sikora
na chórze z gibkich świerków przed Najświętszą Panną.
Z nią razem sopranily drozdy i czyżyki.
Najgłośniej piały wilgi jak tłum na nieszporach,
do nich więc dostrojono piszczałki i skrzypki.

W borze od pienia ptaszęcego wrzało.
Las piał się w niebo świerkami wytrwale,
przed Bożą Matką wyciągnął się w szpaler
i cały świętą nappełnił się chwałą.

Jeszcze czupurny dzięcioł, drzew znawca i lekarz,
kończył je opukiwać, przegląd czyniąc świeży,
puknął sosnę w czoło, aż żywicznie łaza ciekła —
Jego „cytom“ od dawna tutaj nikt nie wierzy.

Grab zakłócił porządek — niecnota
obleśnie się zapędził między gibkie jodły
i w psotacli,
kiedy się drzewa zapodziały w śpiewie,
trzepotając listkami, poplątał im modły,
aż wypuściły kwiecie storczyków na trawę,
czy je Madonnie sypały, — nie wiem,
gdyż sam się przyłączyłem do leśnego Ave.

BEZROBOTNY I GOŁĘBIE.

Zorza spojrzeniem zęgała Kwirynał,
z trawy dźwigał się bezduszny upał,
kiedy omdlałe w pieszczotach zaklinał. —
Głód w bezrobotnym tajne ognie skupiał.

Wicher go ze wsi jak z dębu odłupał,
potoczył w miasto, gdzie odbędzie finał.
Dziś Świętojański Wieczór, Święto Kupał:
Niebo na dwoje błysk rakiet przecinał.

Przetarł mu czoło zrysowane w słoje. —
Z baszt wystraszone rakieta gołębie
wbiły się w drogę mleczną jak wyboje. —

On rozgrzeszonym czuł się w ich obrębie.
Wzlotami — szeptał — cierpienie nie ukoję,
Was wiodą w chmury, mnie we własną głębie.

BABIE LATO.

Krwią w żyłach
tętniły wozy i tłum płynął ulicami.
Tylko wieśniaczka stała wśród babiego lata
podobna do czerwonej plamy.
Nić pajęcza z kimś ją połączyła.
Ona swe życie wspomnieniami łąta.
W powietrzu płasają liście
jak na wodę puszczzone, z papieru korabie
i drzewa szumią uroczyście:
Nie dla niej lato babie.

Wicher rozwiewa liściaste turbany.
Podobnie welon jej leciuchny
w czepinach zdejmowały druhny,
gdy spoglądała w krąg lic roześmiany
przez łzy jak teraz przez liści ulewę.
Drgnęła. Liście mienia się pękiem wstążek...
Oczy zamglone przeciera niepewnie,
tylko wspomnienie ze zmarłym ją wiąże.

Ocknęła się. Moc liści a walor nijaki.
— tu koszem lekko wstrząsnęła jak mieszkciem —
liche miedziaki...
Z piersi westchnienie zerwało się ciężkie:
Jesień chmurnego życia upływa bezmała...
Zwieszając głowę. nitkę pajęczą zerwała.

W CIENIU PLANT KRAKOWSKICH.

Klasztor Sióstr Józefitek
spoczął na plantach na puszystej trawie,
pergaminowy zwitek,
i grzbiet na słońce wschodzące wystawił.

Szyb oczodoły kratami załzawił,
kościelną wieżę podniósł jak monstrancję
i drżącym dźwiękiem jak głos ludzki prawie
zawołał nagle: Przechodnie — Przystańcie!

Tędy przed braćmi uciekał Łokietek...
Czas do girlandy kasztanów przyczynił
bzy i jaśminy i grzędy nagietek
śniade jak lica i strojne w wawrzyny.

Przed złem, co draży życie jak gład kropla cieczy,
jak wicher burze z piorunami miota,
klasztor Świętym Patronem swe życie bezpieczy,
gdzie słońce złote zawiesiło wota.

WSPOMOŻENIE WIERNYCH.

Wracam do Ciebie, Matko, nie z uczyty szyderców,
lecz z pogodzoną wiarą z mym rozumem
i jeszcze większą teraz miłością w mym sercu.
Oczy spuściłaś ku ziemi z obrazu,
abym wracając nie miał się rumienić,
że lekcji życia do dziś dnia nie umiem...
Czyżbym krok każdy postawiony ważył?

Widzę oblicze przesiane przez pryzmat
duszy artysty, wywołany z Cieni...
Czy mogłem, Matko, do Ciebie się nie przyznać,
w płynnej pamięci skryształonej wodzie,
wysnutej z wieków, co cisną się za mną,
ze wzlotu Duchów, co nigdy nie kłamią?
Po gwiazd kurniawie, ja, wędrowiec pieszy,
czy jestem dzisiaj jeszcze Ciebie godzien?

— — — — —

Zgubiony szkaplerz czuję znów na piersi...

LEGENDA GÓRNICZA.

Inż. Stanisławowi Skoczylasowi.

1.

PORANEK.

Ku mlecznym rozstajom
na parabolach orbit
gwiazdy się cofają
i skrzydła poblady zórz —
Namioty mgielne świt rozbił.
— Wstaj Jasiek! Sen, to nie wróż! —

Poranek.

Już rosę opadłą z róż
w kielichy czerpią powoje.
„Masz mleko, chleb, kaganek.
Chroni mię Archanioł Stróż
i dzieci u kolan dwoje.

Na znój jesteście wezwani,
gdy słońce powstaje z klęczek.
Trud ze snu Was wyotchłani,
jak ziemię z mlecznej drogi. —
Wspomnienie przystraja w tęczę
po burzy dom ubogi.

— Płaczesz? Masz słoninę, kaszę,
ogród pachnący miętą,
a krzepkie dzieci Bóg chowa.
„Zacznijcie wargi nasze
chwalić Pannę Świętą”...
Stój! Żono moja, bądź zdrowa! —

2.

PATRONKA GÓRNIKÓW.

Święta Barbara w kapliczce narożnej
jak na spotkanie wybiegła naprzeciw.
Patronka czuwa wiecznie, od stuleci,
świadoma pieczy nad ludźmi, przemożnej,
przegubem daszku ukryta przed słońcem,
codziennie palmę podaje męczeńską,
a w prawej wiatyk: Świętą Hostyję.
Gdy krzyk zamiera na wargach przed klęską,
z barek zsuwa się opończa,
aż serce skacze z osierdzia pod szyję.

W DRODZE DO KOPALNI.

Górnik przystanął. U dłoni
kołysał się kaganek
jak wahadło. —
Któż mi pracować zabroni?
Wrócić się? Nie, za nic! —
Spojrzenie lęклиwe na miasto upadło.
Przed czym go ostrzegęła we śnie
dumna, biała Pani?
— Hola! Na trwogę jeszcze za wcześnie! —
Za nim kotliną powlokło się miasto
czerwonych dachów skibami.
Pośrodku sam kościół
krzyż uniósł ostrzegawczo w górę
i sygnaturka dźwięcznie wybuchnęła łzami.
— Cofnąć się, pójsć za serca wtórem? —
On drogę przez rynek uprościł.

ZAMEK.

Już ze snu przeciąga się zamek
i głowę ukrył w skrzydle,
co został z piastowskich ramek,
gdzie wieki się zapatrzyły
na pół przegięte nad zydlę,
podcieniom dech tchnęły w żyły.

Z murami echo się zwarło
i nocą powtarza strzały.
Baszta zaś echom nie zaprze,
że w bas stroiła gardło,
aż żyły i ścięгна mdały,
gdy wjeżdżał myśliwski zaprzęg.

Nikomu już się nie zwierza,
że patrzy z okien ośleptych.
że drwale płoszyli zwierza. —
Może na nowo rozmota
w pamięci ukryty przepych,
gdy zagra myśliwska rota...

KOŚCIÓŁ.

Kędy sól zwożą i pyżę,
trwa kościół jak rozjemca
pomiędzy Bogiem i ludźmi.
Wzdłuż się rozciągnął krzyżem,
godziny rozwija z kłębca
i lica na wichrze studzi.

Wyciąga wieżę w antenę,
w labędzią ku niebu szyję.
Kiedy wyczuje nieszczęście,
zegar popada w drzenie
i śmierci godzinę bije
jak w bramę rozpaczne pięście. —

6.

OSTRZEŻENIE.

Właśnie w źrenicy zegara
pośród igraszki pustej
pochwyciły się za bary
kółka zębate i śrubki.
Zamiast godziny szóstej
dwanaście krzeszą jak z hubki.

Dla Żelaznika „Memento“
Górnik nie wierzy w gusła,
w siłę zegara zakłęta. —
Był jednym spośród wielu,
choćby pod znakiem truchła
stawia się do apelu.

SZYB DANIŁOWICZA.

Szyb z mgły wypłynął jak lelek.
otrząsnął z rosy czoło,
z wieży żelaznych belek
promienie zwija na koło.

Na dachu brzęczy jak pszczoła
i windom liny pręży. —
Dzwon, schwytyany za język,
sygnałem górników woła.

Tam i z powrotem, bez przerwy
winda w ciemnię się wtula.
Dwie liny, bliźniacze nerwy
w górze rozwija szpula.

Klatkę spuszcza ją koła,
podobne obręczom wielu,
nikt ich wstrzymać nie zdoła,
jak kręgi ponad topielą.

Choć bezustannie pędzą,
nieba dlań niełaskawe,
na gwiazdach, ni na trawie
nie dają spocząć lędźwiom.

Przez ścian żelazne sita
świecą skupione twarze.
W rękach kaganiec świta
ze wzrokiem ludzkim w parze.

W Imię Ojca i Syna...
Coś w piersiach oddech zapiera.
Winda w palcach się wspina,
złamek sekundy... zera...

Jak kula wpadli w krater.
Tak Bóg starł Lucyfera...
Stają, ktoś drzwi otwiera:
„Brać kilof, taczki, łopatę!”

Dróg własnych nikt nie chybi,
dzierżąc kaganiec — czółno,
spod rozgwarnych podszybi
w ciemną chodników północ.

Gdzie kurczy się w ogniki
i ziarna potu sieje,
kiedy ku swoim bliskim
wykuwa w soli przełęcz.

W KOPALNI.

Przed nim komora pręży
odnóża w czarne tunele.
Za nim rusztowań więzy
w palce splecione się zwarły,
— z pni drzewnych piszczele —
Tu strzeże żywych Duch Zmarłych.

Przepadło. Kości rzucono...
Czasem ziarenko platanu
w fałdach piaszczystych, głęboko,
nie tknięte człowieka broną
opowie, jak padło Panu
do stóp nad morską zatoką. —

Kto spojrzy w skostniałą przeszłość
przez ścianę iskrzącej szyby,
uchyli powiekę szkliwa,
gdzie słońce dawno zmierzchło. —
Nocy zakutej w dyby
pilnuje cisza sędziwa.

KAPLICA ŚWIĘTEJ KUNEGUNDY.

Gdzie ciemność głęboka, wyniosła
pasuje ostrzem światła jak stalowej klingi
wielką komorę na katakumb miano,
i gdzie sklepieniem z ziemią kulistą się zrosła,
tam się potoczył pierścień złoty Świętej Kingi. —
Tam odblask gwiazdny z gościny korzystał,
kiedy mu macki promienne złamano,
w roztworze słonym stęzał w płód dostały-kryształ.

W ośrodku komór, przecznic i podłużni,
ścigani klątwą bożka Radogosta,
drażyli miejsce do wspólnej modlitwy,
co hymnem podziemnym niczym się nie różni
od ścian szczerbatych, skąd już droga wiedzie prosta
nie w legendy, powieści i mity,
ale wprost do Boga!

Tu się Stwórcę czuje,
kiedy kamienna z soli zwraca ściana lita
ziarno, co posiał rododendron i tuje,
lub kiedy chodnik w chmurki pierzaste zakwita;

Kiedy w świeczniku mienia się kryształ,
jak nad zakrzepłym morzem zawisłe rybitwy,
złączone w pająk, skrzydłami stężały
za muszlami lub rybką wśród zwinnej gonitwy,

Albo w soli wykutych parze ministrantów,
za to może, że pierwsi dotarli do proga,
na ofiarę patrzyli nie przez mgielny rańtuch,
wraz skamienieli w oczach rzeźbiarza i Boga?

PRZY PRACY.

Kędy sól gazem kurzy,
tam huczy armatnie mina,
górnik kilofem dźwięczy,
tnie skalny pancierz w gruzy,
nad sobą ręce rozpina
w zręby pierzchnącej tęczy. —

Przystawia motor pod ścianę
jak taran pod fortecę.
Prąd włącza, wysuwa żądło
stalowe, gwintowane. —
W elektronach prąd ciecze,
ożywia wiertnicze godło:

Świder,
co wpadł w dziki paroksyzm
i jak pies warknął
piekielnym zgrzytem szyderstw. —
Prąd parzy jadem pokrzyw
i grań rozsadza wartko,

Zgrzyta, trafiając w krzemień,
jazgocze wiertnicze largo,
pali słonymi skrami.
Zwolna wgryza się w ziemię,
zębami strzęka i targa
i strzyka sól gwintami. —

„Dzisiaj się sztygar spóźni“
— szepnął — w koszuli jak w komży,
wczesnie wybuchnie mina,
komorę dymem omży.
Popatrzył w głąb podłużni,
gdzie świtać błysk poczyna.

Ognistą kulą po bieźni
karbitowe mknie słońce.
— Kontrola —
rzecze znużony żeleźnik.
Oto sen o Patronce
z przedpoła. —

Teraz z ognistej kuli
wystąpi Biała Pani,
kiedy krąg płatki roztuli.
— Paść do nóg, naprawić błąd,
klęcząc przy solnej grani. —
Pospiesznie wyłączył prąd.

Czemu nie słuchał przestróg?
W chodniku światło zgasło,
rozbiło czoło o ligar,
kiedy płynęło przez próg. —
Padł jak schwytany w lasso.
z ciemni wystąpił sztygar.

Chwila — wieczności trwaniem. —
W rozwianych kręgach mamidla
nie znajdziesz prawdy probierza. —
Sztymar? Znikł za rusztowaniem.
Chłód uderzył w dwa skrzydła
i strach w górnika uśmierza.

Zerwał się założyć minę.
— Lont zapalę,
za krótki, może starczy?
Trza odbiec — najdalej,
chodnika dopaść jak tarczy —
Zakrywa lice sine.

Syk!...
Myśl biegnie do żony i dzieci.
— Trza odbiec, bo płomień znikł —
Nogi poplątał zimny strach.
Jeszcze kaganiec się świeci.
Przed błyskawicą padł na twarz. —

Skalę w kułaki rozbił grom,
piorunem warknęło z grani!
Nim się oddadzą znowu snom,
zaszembrzą w takt pacierzy.
— Są ranni? —
Któż ból śmiertelny uśmierzy?

Jeden zabity,
żeleźnik. —
A skrzynie na szynach dzwonią
wśród ciągłej gonitwy
po bieżni
i pobrząkują jak bronią. —

Czas taki, klimat:
Setki wypełnią szczyrbę,
będą rękami kół się imać. —
Znowu ponury werbel
w chodnikach kółmi dudni.
Południe. —
Wozaki skrzynię przywieźli.

POWRÓT.

Stają rozwarci w dwurząd
koledzy żałobnicy,
nad nimi sprawia urząd
On zmarły, odświętniczy.

Na barkach wyniesion,
niebaczny w życiu zgoła. —
Małych podniesie zgon
nad glob i ludzkie czoła!

Gdy z wieży dzwon przynagli,
ułożą szyk nie zwodny,
jak w ludziach wykuty chodnik
pod wiatrem z chmurnych żagli.

Tak święcą od praszczura
żałobny pochód bez granic.
Skopców w kogucie pióra
zerka połyskiem kaganiec.

Już ksiądz pochwycił wątek
zgubionej pieśni znowa.
Ścisła piersi zakątek
na pół przytomna wdowa.

Krtań dławia bolesne kurcze,
cisnąc wężowo wstężę.
Dzieci ku sygnaturce
żurawio szyjki prężą.

W rozchybotane trio
wpadają śpiewem alumni.
Grabarze sznury wiją
koroną wokoło trumny.

Jakby za życia — w szybie
zmarły na palce się wspina.
Nim w grobie oparcie zdybie,
żegna go „Salve Regina“.

DALEKIE NAWOŁYWANIA

TROKI.

*Antoniemu Wańkowskiemu,
autorowi „Gwiazdy Wawelu” i „Wikindy”.*

Czy wiesz, czemu Zamek Trocki
opasał się wstęgą błękitną jeziora?
Czemu w słonecznych codzien obmywa się lunach,
ufając czujnej karańskiej mocy,
która za straż mu dała dłoń Kiejstuta skora,
kiedy wejście zamknęła świątynią Perkuna?...

To orle gniazdo sam wypiętrzył Kiejstut:
Wokół wystawił baszt potężne czujki
i wiernych Litwie szaulisów ze stu,
a na wody wypuścił czółna Karaimów,
jak psy gończe gotowe do łowów i hójki.
Z nich każdy niby tkackie, zwinne motowidło
kół zmarszczonych topieli raz po raz się ima,
pochylony, na wiosło tak chwyta, jak w sidło...

Zamek grozi szczerbami jak kolczaste gniazdo,
gdzie Wielki Książę sycił łupem dumę
i jeńców zgrają.
Tam dzisiaj wichry utajone radzą,
a jezioro wzburzone wtóruje im szumem...
Wszyscy czekają.
kiedy z Koroną połączy się Pogoń.
Baszty wycisną swych cieni pieczęcie
na uświęconych Unią pergaminach
i puszcze zaśpiewają w takt myśliwskich rogów
na życia nowego poczęcie — —
i uśmiech przez łzy zajaśnieje z Wilna...

KAŻDY NOSI W SOBIE ODREBNY ŚWIATEK.

Dzieląc się wieścią wargami drżącymi,
przypomnij sobie, że to żal niewieści,
bo nikt dwóch krzyżów nie nosi na ziemi,
ból Twój w bliźnich już się nie pomieści.

Na rozpacz patrzą oczyma golemi,
więc nie pojmują już odmiennej treści,
na co nie czuli, pozostaną niemi,
aż ból sam w sobie im się nie obwieści.

Tak każdy nosi swój odrębny świątek,
gdzie słońce świeci lub biją pioruny,
gwiaździsta burta albo złoto klatek.

Świat jednym tylko złociście się luni,
choć drga w nich serce drewnianych kołatek. —
Jedni światła, — drudzy ciemności zwiastuni.

NIE PŁACZCIE.

Panu N. N.

Kiedy odchodząc, zamknę świat pod powiekami,
zabiorę z sobą jedną myśl świadomą,
że umarłem. Nie płaczcie, łza obraz załamie,
uciskać będzie krzemienną oskoma.

Czyż mogę napelniony boleści echami,
pospinać szlakiem zagrobną dal stromą,
gdy droga się rozplywa postacią na ramie?
Łzy powstrzymajcie, bo mię one gromią!

Niechaj me loty w lazurach wypluszczę,
dokąd codzienne prowadziły ścieżki.
Nie chcę pozostać sobowtórem w lustrze.

Niech mię żal w drodze nie wstrzymuje ciężki,
bo ducha z obłon ziemskich nie wyluszczę,
aż łzy przestaną być przyczyną klęski.

ODWRÓT.

Z południowego wschodu
Sowieci zwarci po osiem,
karmieni złudą za młodu,
w odwrocie depczą czarnoziem.

Siła fatalna ich zenie,
sami nie wiedzą dokąd?
Żaru, co żre podniebienie,
nie zgaszą uśmiechy Giocond.

W północny spieszą zachód,
zagon zmieniają w rżysko.
Dokąd w panicznym strachu
wydepczą twarde łożysko?

Horyzont wzięła w dwa skrzydła
rozwarta z pięści dłoń,
pajęczo w szponach siła
głów ludzkich zwartą błoń.

Proch miałki spod młocki nóg
jak pies do gardła się rwie. —
Słońce zatrzymał sam Bóg,
z zorzą zanurzył we krwi.

Pod hełmem czai się szkwał,
soli zwarzone oczy. —
Kto piersi matczyne ssał,
ssie pot, co z czół się toczy.

Zwiesili głowy bezradnie,
kierując w niebo karabin,
a w sercu tłucze się na dnie
śmierć w ścianki przekrwione kabin.

Bóg jeden i wspólna krew
w nas tętni o Ukraino!
Na swej siostrzycy tylko zew
czerwone podrzesz domino!

DO STRON RODZINNYCH NIE WRACAJ
WCZEŚNIEJ.

Do stron rodzinnych nie wracaj wcześniej,
aż się życia sam prześni sen,
policzki zwiędną w ścięgna i mięśnie,
starość zagarnie ich w spleen.

Ciebie już nie ma w perłowej muszli,
ale nadejdzie taki dzień,
mimo, że wszyscy rówieśni uszli,
Ty jeden tylko trafisz weń.

Ułożysz bilans zysków i strat,
za siebie patrząc z troską w obawie,
Czy się nie zatarł stóp własny ślad
w igraszce słonecznych mgławic.

Całą uwagę w oczach skup,
aby się dzieckiem znów ujrzeć małym,
a znajdziesz ślady dziecięcych stóp,
co młodość w czasie odmierzały.

Poznasz, że jesteś jedną z hub,
pomięty zwitek wstęg z powijacza
i czas do konchy wrócić w grób,
bo wieczność w Tobie już się przetacza.

ODDAJĘ WSZYSTKO, CO WASZE.

Nie ubóstwiałem nigdy bożka Brahmy.
Nienawistnem mu nic, nic nigdy miłem —
Z miłością w przeszłość szedłem wprzód drogami,
aż wyzwoliłem z siebie wreszcie siłę,

co mię złączyła z zabytków jonami,
gdzie ich istotę albo wieczność piłem.
Nikogo wola moja nie omami.
prawdy nie kryję w tworzywie zawilem.

Oddaję przeto wszystko, co jest Wasze,
zostawiam sobie płaszcz cienia i ciszę,
którą mię okrył wśród pomników nów.

To poczytuję za największą krasę,
gdy dech kamienny pochwycę na kliszę
w rwącym potoku barokowych słów.

SPIS RZECZY.

OTO MÓJ DOM UBOGI:

	Str.
Z mojego okna	7
Kościółek Świętego Benedykta	9
Schronisko Brata Alberta	13
Reformacki Zaułek	15
„Ave“	17
Bezrobotny i gołębie	19
Babie lato	21
W cieniu plant krakowskich	25
Wspomożenie Wiernych	25
Legenda Górnicza	27

DALEKIE NAWOŁYWANIA:

Troki	47
Każdy nosi odrębny świeatek	49
Nie płaczcie	51
Odwrót	53
Do stron rodzinnych	55
Oddaję wszystko, co Wasze	57

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH
BIBLIOTEKA
70-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 74
TEL 26-68

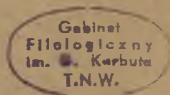
TEGOŻ AUTORA:

Kraków, Moje Miasto, poezje, część pierwsza

Kraków, Moje Miasto, poezje, część druga

Kraków żyje w legendzie, poezje

Utopia, dramat.



K.

22004

2150